

Historyczne lodowe mile przepłynięte na Spitsbergenie! Wyprawa Balviten & KLG SA Arctic.

Za siedmioma górami i morzami, a tak naprawdę za Bałtykiem, Morzem Północnym, Norweskim, Barentsa i Grenlandzkim, leży osada Longyearbyen. Kiedy przylecieliśmy tu, właściwie do jedyne miejsce na Svalbardzie, które można nazwać miasteczkiem, zobaczyliśmy kilka baraków, zabudowania portowe i kopalnię węgla. Wszędzie dookoła walały się kable, stare palety i śmieci. Jest to jakaś baza dla turystów i pracowników Arktyki, jednak widać, że mało kto chce tu mieszkać dłużej i brakuje po prostu gospodarskiej ręki w obojętności. Poza obręb osady nie można się zapuszczać bez specjalnego pozwolenia i broni na niedźwiedzie. Większość turystów albo dociera tu na chwilę, wysiadając z wielkich statków turystycznych, albo samolotem, i czym prędzej wykupuje drogą wycieczkę w atrakcyjniejsze miejsca. Dla nas, ludzi ze Śląska, Longyearbyen jest w porządku. Oprócz pięknych gór oglądamy hałdy podobne do katowickich sprzed 30 lat!

Po przylocie i nocy w polskiej chatce biegniemy do zatoki na pierwszy trening i jesteśmy trochę zaskoczeni – woda jest dość ciepła – ma całe 6 stopni. Chcemy przepłynąć milę, czyli 1609 metrów w wodzie poniżej 5 stopni. Tylko wtedy nasz przepływ będzie ważny, takie są reguły International Ice Swimming Association. Jednak myślimy sobie, że odnoga ciepłego prądu zatokowego podgrzała wodę, jeśli jednak popłyniemy naszym wycarterowanym jachtem pod lodowce, na pewno będzie lepiej. Czekamy na naszą jednostkę. Kapitan Jerzy Różański odwoził jeszcze naukowców do Hornsundu – polskiej stacji polarnej, teraz musi wrócić i wyspać się. Gdy zaczynałem organizować wyprawę 2 lata temu, myślałem, że uda dostać się nam właśnie tam, do Hornsundu. Ale Stacja polarna nie chciała podjąć ryzyka goszczenia pływaków zimowych.

Następnego dnia wchodzimy już na pokład: Trzy osoby przygotowujące się do przepływu mili, gość polskiej wyprawy, także nastawiony a wykonanie tego zadania, Ram Barkai z RPA i reszta ekipy. Ram pyta się, czy jest sauna na jachcie. Nasza jednostka to czerwony Eltanin. Sauny nie ma. Poznajemy kapitana. Jest to tutaj postać znana. Ponad 20 lat pływa po Arktyce przewożąc badaczy i ładunki. Często robi to zupełnie sam. Jest oazą spokoju i dobrego humoru. Okazuje się że twardy człowiek morza może posiadać łagodne oblicze. Mówi też niezachwaszczonym językiem polskim, który rozumiemy, ale nie umiemy się już nim posługiwać.

Wyruszamy szukać zimnej wody. Warunki są romantyczne: jest tylko 6 koi, więc część załogi rotacyjnie będzie spała na podłodze lub na pokładzie. Kto śpi na łóżku, ten mięczak. Może będzie nam zimno, ale na razie cieszymy się jak dzieci z tej pogody tutaj. W Polsce było ponad 30 stopni – nienawidzimy tego. Po około 4 godzinach dopływamy do pierwszego lodowca. Na morzu widać granicę wód. Z jednej strony wody lazurowe, po drugiej stronie, bliżej

lodowca woda brunatna. Widać, że wody nie od razu się mieszają. W okolicy pływa wiele gór lodowych. Dużych jak ciężarówka, ale i drobniejszych. Niektóre miejsca są pokryte lodową kaszą. Pływający lód, topiąc się syczy i czasami błyskawicznie rozpada. Lodowiec huczy i grzmi. Ciężko wyobrazić sobie tutaj wytyczenie trasy przepływu.

Mierzymy temperaturę i... okazuje się, że woda ma nieco ponad 5 stopni. Żegnaj więc, lodowcu Borebreen. Nieustanny dzień powoduje, że gubimy poczucie czasu. Oczywiście przyzwyczajone do bieli i błękitu gubią się w przestrzeni. Znaleźliśmy się w baśniowej krainie, znanej z lektur kilkulatka.

Baju, baju, baśń się baje, nie tak prędko lód roztaje. Płyniemy kilka godzin w kierunku lodowca Sveabreen. Sytuacja wygląda tutaj inaczej. Jest trochę pływającego lodu, ale sam lodowiec nie zagarnia tyle materiału z podłoża i woda pozostaje błękitna. Chwila prawdy – termometr pokazuje 4,0 do 4,4 stopnia. Doskonale, tutaj niedaleko w malowniczej zatoce rzucamy kotwicę aby następnego dnia zaatakować lodową milę.

Milę będziemy płynąć od plaży w zatoce w kierunku morza. Na początku pływak będzie asekurowany przez ponton, po 600 metrach dołączy do pontonu jacht. Trasa kontrolowana jest za pomocą kilku gps-ów. Będziemy pływać 50 metrów więcej, żeby nie było wątpliwości, że mila została pokonana. Rzucamy też kilkakrotnie patykiem i patrzymy co się dzieje, czy są tutaj prądy? Wygląda, że raczej nie.

Przygotowania dnia następnego trwają do godziny 11. Kamery, aparaty, nawigacja, stopery i raketnica – wszystko gotowe. Wsiadam do pontonu. Czepek na głowie. Okulary na oczach. Jestem pewny swego. Trzy razy w tygodniu przez całą zimę trenuję z chłopakami w katowickim Szlomioku. Pływamy regularnie na zawodach IISA i pucharu Czech. Kiedy rozpoczyna się wiosna przenosimy się z treningiem do mroźni i chłodni Grupy FSP. Grzegorz Bieniek i Jarosław Ryng, do pustej mroźni wkładają plastikowy pojemnik, który napełniają słoną wodą. Siedzimy w nim 3 razy w tygodniu około pół godziny. Czasami, w ramach eksperymentu przygotowujemy sobie wodę o ujemnej temperaturze. Nasz rekord to kilka minut w wodzie o temp. - 4,7 stopnia. Podobno roztwór nasycony soli zamarza dopiero w -21 stopni Celsjusza. Jednak myślimy, że w takiej wodzie szybciej nabawimy się odmrożeń niż złapiemy hipotermię. A chcemy hipotermii. Wracamy do przepływu.

Wchodzę do wody i mam jedyną taktykę. Myślę o technice pływackiej. W żadnym wypadku o niedźwiedziach i innych zagrożeniach. Skupiam się na długim kroku, delikatnym obrocie głowy i mocnych, spokojnych pociągnięciach. Płynie mi się bardzo dobrze, wybieram średnie tempo i wiem, że powinienem zobaczyć za 18-19 minut tablicę z napisem 1000 m. Jest krótka fala, która trochę utrudnia chwyt wody, ale to nic takiego. Po moim wyliczonym w głowie czasie patrzę na ponton – nie ma tablicy. Płynę jeszcze minutę, dwie – dalej nie ma tablicy. Robię kilka ruchów żabkarskich i wracam do kraula. W końcu widzę znak 1km. No to jednak jakiś przeszkadzający prąd lub pływ załapałem. Moja

trasa wygląda też dziwnie – jakieś esy, floresy, ściąga mnie w lewo. Normalnie nie mam problemu z nawigacją, a tutaj hmm... No nic. I tak dam radę, bo jestem przygotowany nawet na 45 lub trochę więcej minut pływania, myślę. Trzeba pamiętać, że po przepłynięciu 1km w zimnej wodzie tempo spada tak, że następne 600 metrów można przepłynąć w czasie pierwszego kilometra. Skupiam się na technice, jest w miarę dobrze, ale płynę dość wolno. Kończę w 39 minut i 39 sekund. O własnych siłach wchodzę na jacht, schodzę pod pokład i kładę się do śpiwora. Proszę o butelki z ciepłą wodą. Wkładam je pod pachy i na podbrzusze. Nasz wyprawowy doktor, Michał Starosolski kontroluje, czy wszystko idzie dobrze. Czy te oto trzy magiczne flaszki przywrócą mnie do żywych? Dopada mnie słynny afterdrop, czyli dalsze obniżenie temperatury rdzennej ciała o jakieś pół stopnia. Zaczyna się trzęsawka. Trwa 20 minut. Po tym czasie jest już po prostu dobrze, choć na pełne ogrzanie trzeba czekać nawet do 4 godzin.

Rusza Łukasz Tkacz. Widzę go, jak już płynie w wodzie. Łukasz jest bardzo wytrzymały, posiada słuszną posturę i łagodne usposobienie. Przywodzi na myśl Wale Białe, Białuchy, których stado mieliśmy okazję zobaczyć. Majestatyczne, silne żabkarskie ruchy i głośny wydech powietrza. Po przepłynięciu mili angielskiej dorzuca jeszcze ponad 200 metrów i kończy na mili morskiej w 45 minucie. Jest to rekord odległości pokonanej w tych warunkach na tej szerokości geograficznej. Łukasz sam się przebiera i wygląda, że afterdropu nie będzie. Jednak po paru minutach podlega łagodnej trzęsawce. Superman – rzuca uwagę w kierunku Łukasza Ram.

Teraz płynie Marek Grzywa. Zwykle jest najwolniejszy z nas. Więc mam obawy. Jednak nie dzisiaj. Dzisiaj jest panem młodym na polarnych zaślubinach. Dzisiaj jest najmocniejszy. Pokonuje równym tempem milę angielską w 34 minuty i 59 sekund. Cały czas utrzymuje prawidłową technikę. Dochodzenie do siebie jest szybkie i bynajmniej niedramatyczne.

No to kolej na Rama Barkaia. To stary morski wilk. Ale widać, że przepelniają go emocje, których nie chce i ostatecznie nie okaże. Nigdy nie pływał na tej szerokości geograficznej i było to jego marzenie. Rok wcześniej organizował wyjazd, ale z różnych przyczyn nie doszedł on do skutku. Ram jest jak torpeda – pokonuje milę w 28 minut. Regeneracja? Ram nie okaże słabości. Ale my wiemy, jak to jest.

Na koniec do wody wchodzi Mariusz Lebioda i przepływa zaplanowane 600 metrów. Mariusz ciężko pracuje przez całą wyprawę. Jest najbardziej z nas spostrzegawczy i dodatkowo to inteligent starej szkoły. Pożycza książki z biblioteki i je czyta. Bardzo dużo mówi i na prawdę ponad 99 procent tego co mówi, jest mądre.

Baju, baju, baśń się baje, niechaj baba sił dostaje. Kinga wchodzi do wody. Umówiliśmy się na odcinek 500 do 1000 metrów. Kinga nie trenowała od końca stycznia, wchodziła do mroźni tylko na chwilkę, więc nie chcemy ryzykować jej zdrowia i powodzenia wyprawy. Kinga idzie jak burza. Mamy pewne kłopoty z

komunikacją, myślę, że wynikają z tego, że nie asekurowaliśmy jej wcześniej przy pływaniu. Nie pływała z nami lodowej mili w Polsce i nie pływała z nami Bałtyku wpław. Kinga czuje się bardzo mocna i chce przepłynąć milę. Nie pozwalamy na to. Nie podejmiemy tego ryzyka, choć Kinga może by tę milę pokonała, bo jest bardzo utalentowaną zimową pływaczką. Przepływa ostatecznie 1090m w 20 minut i 21 sekund, co jest rekordem kobiecym w Arktyce na tej szerokości geograficznej. Nawet słynna Lynne Cox tak wysoko się nie zapuściła. Zadowolili się Cieśniną Beringa. Kinga wraca na pokład zła. Jest dym. Oj, jest siwy dym i czarne chmury. Gdy po jakimś czasie wychodzi do toalety, robimy szybkie głosowanie: zostawiamy ją w zatoce z niedźwiedziami, czy płynie z nami? Jak ją zostawimy, będzie dużo papierów do wypełniania w Longyearbyen. Szybka decyzja i Kinga jedzie dalej.

Jest jeszcze Artur Kubica – ciężko pracujący na wyprawie żeglarz, mający smykałkę do techniki. Oczytany i zawsze pomocny. Warto go mieć na wyprawie. Gotuje nam świetnie nasz opiekun medyczny – Michał Starosolski. Myślę, że jego cnotą wiodącą jest jednak odwaga. Nigdy nie panikuje, dobrze zarządza ludźmi. Czujemy się przy nim bezpiecznie.

Podsumowując, każdy z nas ma swój rekord, a wszyscy razem dokonaliśmy pracy pionierskiej. Nikt tu nigdy tyle nie przepłynął. Całym wydarzeniem mocno interesuje się prasa lokalna: Svalbardposten. Redaktor mówi, że miejscowi zaczynają się trochę kąpać i chcą się dowiedzieć, jak rozpocząć pływanie w takich warunkach. To zaszczyt, być o takie rzeczy pytanym przez Norwegów ze Spitsbergenu.

I tak już się kończy ta opowiadka... ale jednak nie! Jeszcze jedna historia przyszła mi do głowy. Po trudach przepływu nastąpił czas na relaks. Ram chce bardzo wdrapać się na górę lodową i skoczyć z niej na główkę. Kapitan odradza, mówi, że w każdej chwili góra może pęknąć i wręcz eksplodować – podwodne kilkusetkilogramowe części mogą gwałtownie wypłynąć nawet kilka metrów od pęknięcia. Można zostać poważnie poturbowanym. Jednak Jerzy Różanski nie zabrania. Ram zobaczył górę wielkości małej ciężarówki z przyczepą. Chce się wdrapać pomiędzy dwa wierzchołki, wejść jak najwyżej i skoczyć. Prosi mnie o zgodę. Ja odpowiadam „ok, go!” i w tej chwili, gdy Ram przekracza relingi, cała góra odwraca się o 360 stopni, góra – dół. Jeśli ktoś by na niej stał – może by go zassało pod górę, może by się mocno potłukł, nie wiemy. Zmienilibyśmy tytuł relacji na „Ram po drugiej stronie lustra”? Ależ ja jestem głupim dowódcą wyprawy!

I ja tam byłem, lód brzuchem topiłem, a com widział i przeżył, w sztambuch umieściłem.

Leszek Naziemiec, czerwiec 2017

